Rok 1897. Nr. 47

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy do „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Redaktor: **Izydor Kuncewicz.**

ANTONI CHOŁONIEWSKI.

TROJE.

Nie chciał się opierać jej proźbie, bo odmowa byłaby małostkową i nieludzką. Wobec umarłych zachowuje się zwyczajowo pjetyzm, chociażby za życia byli zupełnymi zerami lub hultajami, wreszcie, o trupa nie potrzebował być przecież zazdrosnym. Więc gdy zwracając na niego niebieskie oczy z przymileniem i wyrazem jakiegoś oficjalnego smętku mówiła:

— Mężusiu, wszakże pozwolisz mi pójść na jego grób i będziesz mi towarzyszyć?

Pocałował ją w czoło i odrzekł:

— Ależ dziecko, oczywiście. Pójdziemy wieczorem.

Mimo to było mu jakoś dziwnie nieswojo — a odprowadzanie własnej żony na grób jej pierwszego męża wydawało mu się sytuacją wysoce nienaturalną. Przez cały dzień była dla niego jeszcze bardziej czułą niż zwykle, tytułowała go „mężusiem" zamiast jego chrzestnem imieniem, a kilka razy, otoczywszy ramieniem jego szyję i łasząc się jak kotka, usiłowała widocznie nawiązać jakąś rozmowę. Nie mogła jednak wykrztusić początku. Więc biegła od męża do swoich zajęć domowych, aby za chwilę znów powrócić i zasypać go pieszczotami. Wreszcie, przytknąwszy usteczka do jego ucha, szepnęła:

— Ale ty nie masz mi tego za złe. Ty jesteś dobry. To przecież tylko chrześcijański obowiązek, nic więcej, tylko chrześcijański obowiązek... Prawda? Ty tak samo to pojmujesz?

Objął ją delikatnie wpół i wzruszony zapytał po cichu:

— Bardzo go kochałaś?

Młoda kobieta zamiast odpowiedzi zarzuciła mu ramiona na szyję i zaczęła namiętnie i szybko całować, jakgdyby chciała przekonać go, że teraz już kocha tylko jego jednego na świecie i że między nimi nie stoi nic zgoła.

Wieczorem wyszli z domu, pod ręce, otuleni w ciepłe jesienne ubrania. Pogodnie było ale zimno. Ulicami miasta płynęła wielka, czarna fala w stronę cmentarza. Dorożki przestały na tej przestrzeni kursować i tłum ten, napływający wciąż i wciąż bez końca, robił wrażenie jakiejś nieprzerwanej procesji duchów, otulonych w człowiecze kostjumy. Po obu stronach ulic jęczał, śpiewał i deklamował przeciągłym akcentem żywy płot żebraków nędzarzy. Zdawało się, że ktoś nagle ze wszystkich nor i kryjówek miasta wypędził te wstrętne, zezwierzęcone istoty i zorganizował je w chór piekielny. Były tu wszystkie rodzaje kalectw i cielesnej brzydoty — niby plastyczne „memento“ ludzkiej znikomości w obliczu tych bram, po za któremi mieszkała śmierć, w koronie z kości i próchna.

Płynęli z falą, przepychając się niekiedy z trudem przez zbitą masę pleców. Wreszcie, ku końcowi długiej ulicy. po nad cmentarzem zajaśniała żółta łuna stu tysięcy świec i lampionów, a równocześnie zapach wosku uderzył powonienie. Cmentarz płonął jak jedna wielka pochodnia, a wśród grobów roiło się mrowie, przypieczętowujące westchnieniami i modlitwą nieprzerwaną łączność pokoleń ludzkich. Od bramy skręcili w bok i zmięszali się oboje z tem mrowiem. Po kwadransie uciążliwego tłoczenia się dotarli do celu.

Był nim grób jej pierwszego męża. Leżał na ustroniu, daleko od głównej alei cmentarnej. Skromny, szablonowy pomnik z kamienia znaczył miejsce, w którem spoczywały szczątki tego człowieka. Na ziemi znajdowały się już w dzień zatknięte lampjoniki i świeży wieniec żywych kwiatów. Gdy znaleźli się przed grobem, mężczyzna usiadł na pobliskiej ławeczce, a kobieta zabrała się do zapalania świateł. Wiatr gasił co chwila zapałki i pomimo jej wysiłków grobowiec stał czarny, cofnięty od reszty oświetlonych pomników, jakby chmurny i rozgoryczony wobec tej, która przyszła płakać na mogile kochanka — w towarzystwie jego następcy.

Nakoniec jednak udało się zapalić lampjony. Jeden po drugim rzucał coraz krwawsze blaski na osamotniony kamień. Młoda kobieta uklękła na krawędzi grobu i zatopiła się w modlitwie. Z nabożeństwem, spotęgowanem panującą dokoła grozą śmierci, poczęła szeptać pacierz — ową formułkę bezdźwięczną i szematyczną, która jest zanadto wyuczona, ażeby mogła wychodzić na usta z głębi duszy. Szła więc tylko z komórek pamięciowych — mechanicznie, machinalnie, bez odczucia... Ale trwało to krótko.

Tekst modlitwy począł się na ustach kobiety plątać i mylić, a na jego miejsce wychyliły się żywe, blade, jak kwiaty pozbawione woni — wspomnienia, związane z tym samotnym grobem, i pełną falą napłynęły do duszy, trącając o jej struny, jak o struny harfy, miękkiem i łzawem dotknięciem.

Tu mąż jej leży! Sam, opuszczony, zapomniany, z wichrami cmentarza, z jękiem jesiennych deszczów, nieruchomy potargany przez legjon wstrętnego robactwa. A jednak — kiedyś był to piękny mężczyzna. Był jej pierwszą miłością. Jemu zawdzięcza najsilniejsze, najbardziej rozkoszne wrażenia ciała i duszy, on nauczył ją kochać, z nim zamieniła pierwszy pocałunek miłosny, wstydliwy i namiętny pocałunek panny na wydaniu... Pamięta go tak dobrze, prawie żywy stoi przed jej oczami i zdaje się mówić do niej.

— Maniu, Maniusiu!...

Są sami jedni w ciemnym saloniku, do którego wpada tylko blask lampy z sąsiedniego pokoju. Trzyma jej głowę w dłoniach i rozlewa pocałunkami żar po dziewczęcej twarzyczce. Jeden pocałunek, drugi, trzeci, dziesiąty... Gorące, serdeczne, kochane pocałunki! Gładzi jej włosy i zamyka cały ogrom uczucia w samem imieniu jej i w doborze najpoetyczniejszych wyrazów.

— Maniusia! Moja ptaszyno, mój skarbie!... Moje bóstwo!...

Był wtedy jej narzeczonym. Potem przyszła pełnia szczęścia. Połączyli się i nastąpił szał pierwszej rozkoszy cielesnej dwojga ludzi, pchniętych sobie w ramiona przez konieczność, spojonych ze sobą zmysłami i duszą. Pamięta to wszystko i uprzytamnia sobie. Zapomina o otoczeniu i smagana wiatrem jesiennym, na tym grobie po raz drugi przeżywa młodość, kocha, bierze pocałunki i kładzie je sama na miękkich wargach mężczyzny.

Wstrząsa się od zimna. Wiatr dusi żółte płomyki lampek, a one uciekają przed nim, kładąc się na powierzchni tłustego płynu. Oczy kobiety ślizgają się mętnie po ścianach grobowca, a usta machinalnie chwytają początek modlitwy.

— Ojcze nasz...

Mężczyzna stał kilka kroków od grobu, otulony w płaszcz, i rozgrzewał zmarzłe nogi, trącając jedną o drugą. Dokoła płonęły groby, snuli się ludzie, zdaleka dochodził śpiew jakiegoś chóru. On tu nikogo nie miał — był obcym zarówno w mieście żywych, jak umarłych. Czekał tylko na żonę. Skończy i pójdą ztąd. Nie może jej jednak przeszkadzać — modli się przecież na grobie męża.

Na grobie męża... A on czem jest? Także mężem. Jest ich dwóch — on żyje a tamten umarł i zgnił. Jest teraz kupą

kości, trupem, żerem robactwa. Wyobraża go sobie: w rozpadających się deskach trumny leży straszna czaszka, taka sama, jaką się spotyka w anatomicznych gabinetach. Okropne jamy oczne wytrzeszczone w czarną próżnię, zęby szczerzą się piekielnym wyrazem. Dalej piszczele rąk i nóg, wypukły szkielet piersi, a wszystko nagie, ohydne, trupie, przejmujące obrzydzeniem i dreszczem.

I to jej mąż. Ten straszny kościotrup ssał jeszcze przed nim pocałunki z jej ust, wyczuwał ciepło jej ciała, brał z niego wszystką rozkosz, tworzył z niem całość nierozerwalną.

Spojrzał na żonę. Modliła się...

Nagle uczuł nienawiść do tych szczątek robaczywych. Dlaczego ten szkielet wchodzi mu ponownie w drogę? Więc niedość, że ukradł mu pierwszeństwo w posiadaniu kobiety, jeszcze teraz staje pomiędzy niemi, i butny, bezczelny, wstrętny unosi ją ze sobą w fantastyczny świat wspomnień. Ona przecież musi pamiętać pieszczoty tego trupa. Może wskrzesza sobie w wyobraźni wspólnie przeżyte lata i całuje jego oczy — te jamy okropne, jego usta — ten wyszczerzony, śmiertelny chychot...

Ogarnęła go wściekłość.

Zbliżył się do grobowca, gwałtownie ujął kobietę za ramię i szarpnął niem.

— Chodźmy już. Za długo tu jesteśmy...

J. MOSZCZEŃSKA

Udział kobiet w lidze pokoju.

Nie zamierzam bynajmniej rozstrzygać, która z tych dróg odpowiedniejszą i praktyczniejszą być może — zaznaczę tylko, że zbrojny pokój coraz kosztowniejszym się staje. Biorąc tylko pod uwagę stronę materjalną — rujnuje kraje nie mniej niż dawniejsze wojny. Wreszcie, z natury rzeczy, ciągłe licytywanie się państw w pomnażaniu siły zbrojnej, z konieczności jakiś kres znaleść musi — a zbrojny pokój, im trwa dłużej, tem większym zakończy się krachem. Jeżeli więc rozbrojenie nazwalibyśmy utopią, to zbrojny pokój nazwaćby można logiczną sprzecznością, gdyż sam swoje istnienie podkopuje. Dlatego tylko razi on mniej umysły ogółu, niż marzenie przyjaciół pokoju, że wydaje nam się zawsze łatwiejszą i naturalniejszą rzeczą w kierunku w którym nabraliśmy pewnego rozpędu, dążyć dalej, choćby w przepaść, niż nagle uczynić zwrot w stronę przeciwną.

Antymilitarne dążenia ogółu kobiet, tłómaczą się łatwo właściwościami ich natury i ich odrębnemi interesami. Zdawałoby się na pozór, że militaryzm wiele silniej gnębić musi męzką połowę społeczeństwa i wśród niej radykalniejszych spotykać przeciwników.

Nie jest to jednak tak bezwzględną prawdą. Wojna z reguły wprawdzie tylko mężczyzn na niebezpieczeństwo życia naraża, kobiety mogą chyba tylko przypadkowo stać się jej ofiarą; wojny jednak stały się dziś tak rzadkim wypadkiem, że nikt z tych którzy służbę wojskową pełnią, poważnie z tą ewentualnością się nie liczy i z góry nie przypuszcza, aby miał mieć sposobność nadstawienia piersi w obronie kraju. Jest zawsze dość liczna klasa mężczyzn, dla których wojskowość stanowi karjerę, choćby sposobność do zyskania odznaczenia, rangi, jakiegokolwiek tytułu lub tytuliku, mogącego cywiliście na coś się przydać. W przesiąkniętych duchem militarnym Prusach np. niejeden młodzieniec pragnie zdobyć rangę oficera rezerwy, żeby ułatwić sobie bogate ożenienie. W samem wychowaniu chłopców tkwi już wiele takich czynników, które na rozwinięcie skłonności militarnych wpływają. To też mali junacy z pewnym podziwem patrzą na mundur, a karabin i szabelka od najmłodszych lat życia posiadają dla nich niemało uroku. Późniejsze wpływy częstokroć wzmagają te dążności, zwłaszcza, w mniej krytycznie usposobionych umysłach.

Wysoko rozwinięte poczucie pewnego rodzaju kastowej wyższości w sferach wojskowych, wielokrotnie powtażane publicznie twierdzenia, że armia stanowi kwiat narodu, jego wybraną i najdoskonalszą cząstkę, działa poniekąd jak suggestja na masy niesamodzielne.

Świat kobiecy tylko w maleńkiej swej cząstce, suggestji tej podlegać może. Służba wojskowa jest jedynym — jedynym może z męskich przywilejów, których dziś już żadna kobieta płci męskiej nie zazdrości... Te zaś, które głębiej rozważają stosunki życiowe, w krótkim czasie dochodzą do przekonania, że obecny militaryzm zgubnie bardzo wpływa na położenie większości kobiet. Przyczynia on się niemało do utrudnienia związków małżeńskich, opóźnia je lub wprost uniemożliwia, gdyż pogarsza i tak niekorzystne ekonomiczne warunki. Jeżeliby przyjąć za normę, że praca mężczyzny ma być dla kobiety źródłem utrzymania, to przyznać trzeba, że cała klasa mężczyzn w służbie wojskowej pozostających, jest dla tego rodzaju eksploatacji zupełnie straconą, gdyż nawet wyższego stopnia wojskowi żony swoje z ich własnego utrzymywać muszą posagu. Nietylko więc wojna, ale i pokój zbrojny zmiejsza dla kobiet szansę wypełnienia ich naturalnego powołania żony i matki. Nie twierdzę bynajmniej,

aby sympatje kobiet dla ideji pokoju tylko z tych egoistycznych i na wyrachowaniu opartych pobudek wynikać miały. Przeciwnie, znaczna ich większość ulega wpływom humanitarnych dążności lub powoduje się naturalnym kobiecym wstrętem do przelewu krwi i wszystkiego, co z nim związek mieć może. Że zaś wychowanie kobiet bynajmniej na rozwinięcie rycerskiego animuszu nacisku nie kładzie, więc też mniej wśród nich rozpowszechnione bywają militarne przesądy. Stąd to kobiety w tych sprawach radykalniejsze bywają niż ogół mężczyzn, a rozbrojenie i sądy rozjemcze — w ich oczach — za autopię nie uchodzą.

Stowarzyszenia kobiece w Niemczech, we Francji, Skandynawji, Anglji i we Włoszech, w znacznej swej większości złożone są z przyjaciółek pokoju, pracujących razem z pokrewnymi im duchem mężczyznami nad popieraniem dążeń międzynarodowej ligi.

W ostatnich czasach Włoszki zamanifestowały tę dążność składając na ręce swego rządu petycję o zakończenie kampanji afrykańskiej opatrzoną w 150.000 podpisów.

Jakkolwiek w naszym kraju liga pokoju niema dotychczas swej filji i dla łatwo zrozumiałych powodów Polki tą propagandą nie zajmowały się dotąd, jednakże stwierdzić mogłam, że i wśród naszych rodaczek odzywał się w tym samym duchu głos bardzo poważny. W r. 1870. Narcyza Żmichowska najświetniejsza może dotychczas reprezentantka sprawy kobiecej u nas, kobieta wielkiego umysłu i wielkiego serca, pod świeżem wrażeniem okropności toczącej się walki — napisała w korespondencji swojej kilka kartek o roli jaka kobiecie w polityce przypaść powinna. O rozbrojeniu powszechnem wprawdzie nie wspomina — zbyt gorąco przejmowała się kilkakrotnie w swem życiu naszemi narodowemi walkami o wolność, aby uwierzyć, że wojna wogóle zbyteczną stać się może, lecz wierząc w pokojowe dążności kobiet, chciałaby przyznać im głos w sprawie rozstrzygania o pokoju i wojnie. Jest rzeczą naturalną, twierdziła, aby kobieta nie żałowała krwi męża lub brata, gdy chodzi o wolność ojczyzny, ale jest rzeczą wprost niemożliwą, aby narażać chciała życie swych najbliższych dla osiągnięcia handlowych korzyści lub dla zmuszenia cudzoziemców, aby mówili jej językiem lub do skarbu jej państwa składali podatki.

(Dokończenie nastąpi).

Na dworcu.

Topazy, rubinami, szmaragdy migocze
Latarń, zwrotnic, sygnałów mnóstwo niezliczone,
Strzegąc szyn pełzających, rojem, w osłonione
Mgłą wieczorną i dymem tajne dali mrocze...

Ciałem żmij legły one, sztywne, nieochocze,
Ciałem żmij pełzających w zarośla omglone,
By tam usnąć osłabłe, nocą otulone —
Hen, kędy w dali widne ciemne lasu zbocze...

Świst daleki, sygnały; z mgieł się wydobywa
Głuchy oddech, potężny, jak z piersi olbrzyma —
Już majaczą w oddali dwa ślepia czerwone...

Coraz większe i krwawsze — świst znów się odzywa,
Nad pędzącym potworem kłąb pary się wzdyma —
Na dworzec wpada pociąg, jak zwierzę szalone...

Zdzisław Art.

EDWARD STRUMPF.

Literatura gruzińska.

(Ciąg dalszy).

Eljasz Czawczawadze wyraźnie zakreśla swe ideały i otwarcie wznosi sztandar postępu w imię doskonalenia się ludzkości. Najbardziej znanemi utworami jego są: „Do Aragwy“, „Elegja“ i „Do matki — Gruzinki“. W pierwszym zwraca się do rzeki Aragwy, nad którą leży starożytna stolica Gruzyi, Mechet, jako do świadka dawnej świetności. „Elegja“ jest pięknym obrazkiem lirycznym „dolin Gruzji drogiej, śpiących w smętnym blasku księżycowej nocy“; kończy się następującem pytaniem: O kraino, kiedyż się przebudzisz z tego snu i ciężkiej swej niemocy?“ Najbardziej popularnym jest trzeci wiersz :„Do matki — Gruzinki“:

O, matko — Gruzinko!.. w stuleciach przeszłości,
Gruzinka, dla kraju swych synów chowała,
Gór grzmoty im były od pierwszej młodości
Tak swojskie, jak pieśni, co matka śpiewała.

Już przeszedł ten czas, gdyż nieszczęścia wiekowe
Tę moc twojej duszy złamały swą siłą,
I dziś, chociaż życie powstało już nowe,
Jak cień stoi syn twój nad przodków mogiłą.

Lecz trudno narzekać na stratę wielkości,
Gdy inna już gwiazda na niebie nam błyszczy,
Dziś mamy pracować dla swojej przyszłości,
I może najśmielsza nadzieja się ziszcze!

Tu, matko — Gruzinko, jest rola dla Ciebie,
Tu siejba twa może plon wydać wspaniały,
Daj synom twym moc, by za kraj i za siebie
Z nich każdy się trudził i w tem był wytrwały.

O natchnij ich, matko, gorącem miłości,
Braterstwem, równością, poczuciem swobody,
Niech każdy z nich pozna ideał ludzkości,
Niech zwalczać też umie złych losów przeszkody.

Tak, matko, ty czuwaj, jak anioł nad nimi,
Ty ucz ich czcić dobro i stronić od złego,
Niech prawda wciąż błyszczy, jak gwiazda przed nimi,
Niech będzie ich droga bez śladu ciemnego!

Przedstawicielem kierunku ludowego w literaturze jest Rafał Eristawi. W młodości, jak prawie każdy poeta gruziński, tworzył banalne poezje, opiewające wino i kobiety. Późniejsze utwory biją miłością ojczyzny i duchem rycerskim, jaki potrafił wlać umiejętnie w wiersze, napisane najprostszym językiem, bo językiem ludowym. Odpowiedni dobór tematów i ten styl, oraz język, zrobiły zeń popularnego poetę ludowego. Najbardziej znanemi z wierszy jego są: „Pieśń z czasów Tamerlana“ i „Pieśń Chewsura. Najwyżej stoi drugi z wymienionych utworów. Jeden ze znajomych Gruzinów opowiadał mi, iż słyszał kiedyś samego autora, deklamującego w towarzystwie ten utwór, wówczas jeszcze niedrukowany; pyszny język ludowy i ten ton pieśni, wdzięczny jakiś, wiejący prostotą i szczerością, wywarł nadzwyczajne wrażenie, tak, że wiersz z rękopisu znany był już powszechnie.

Dziennikarstwo gruzińskie należy do najmłodszych działów piśmiennictwa. Pierwsze pisma pedrjodyczne powstały w szóstem dziesięcioleciu, lecz usiłowania pionierów rozbiły się o obojętność ogółu, który nie odczuwał jeszcze potrzeby perjodycznego informowania się o sprawach ogólniejszej natury. Inteligencję stanowiły wówczas wyższe sfery społeczeństwa; kiedy zaś ostatnie upadły materjalnie, inteligencja zyskała inny charakter. Dzięki pewnemu zeuropeizowaniu stosunków społecznych, zrodzona po raz drugi prasa perjodyczna, znów podniosła głowę i, niby wzajemne reagowanie ciał chemicznych, poczęła przyczyniać się do dalszego cywilizowania Gruzji, demokratyzując społeczeństwo i wysuwając wykształcenie i osobistą zasługę, jako jedyne mierniki wartości i znaczenia człowieka.

(C. d. n.)

Już przeszedł ten czas, gdyż nieszczęścia wiekowe
Tę moc twojej duszy złamały swą siłą,
I dziś, chociaż życie powstało już nowe,
Jak cień stoi syn twój nad przodków mogiłą.

Lecz trudno narzekać na stratę wielkości,
Gdy inna już gwiazda na niebie nam błyszczy,
Dziś mamy pracować dla swojej przyszłości,
I może najśmielsza nadzieja się ziszcze!

Tu, matko — Gruzinko, jest rola dla Ciebie,
Tu siejba twa może plon wydać wspaniały,
Daj synom twym moc, by za kraj i za siebie
Z nich każdy się trudził i w tem był wytrwały.

O natchnij ich, matko, gorącem miłości,
Braterstwem, równością, poczuciem swobody,
Niech każdy z nich pozna ideał ludzkości,
Niech zwalczać też umie złych losów przeszkody.

Tak, matko, ty czuwaj, jak anioł nad nimi,
Ty ucz ich czcić dobro i stronić od złego,
Niech prawda wciąż błyszczy, jak gwiazda przed nimi,
Niech będzie ich droga bez śladu ciemnego!

Przedstawicielem kierunku ludowego w literaturze jest Rafał Eristawi. W młodości, jak prawie każdy poeta gruziński, tworzył banalne poezje, opiewające wino i kobiety. Późniejsze utwory biją miłością ojczyzny i duchem rycerskim, jaki potrafił wlać umiejętnie w wiersze, napisane najprostszym językiem, bo językiem ludowym. Odpowiedni dobór tematów i ten styl, oraz język, zrobiły zeń popularnego poetę ludowego. Najbardziej znanemi z wierszy jego są: „Pieśń z czasów Tamerlana" i „Pieśń Chewsura. Najwyżej stoi drugi z wymienionych utworów. Jeden ze znajomych Gruzinów opowiadał mi, iż słyszał kiedyś samego autora, deklamującego w towarzystwie ten utwór, wówczas jeszcze niedrukowany: pyszny język ludowy i ten ton pieśni, wdzięczny jakiś, wiejący prostotą i szczerością, wywarł nadzwyczajne wrażenie, tak, że wiersz z rękopisu znany był już powszechnie.

Dziennikarstwo gruzińskie należy do najmłodszych działów piśmiennictwa. Pierwsze pisma pedrjodyczne powstały w szóstem dziesięcioleciu, lecz usiłowania pionierów rozbiły się o obojętność ogółu, który nie odczuwał jeszcze potrzeby perjodycznego informowania się o sprawach ogólniejszej natury. Inteligencję stanowiły wówczas wyższe sfery społeczeństwa; kiedy zaś ostatnie upadły materjalnie, inteligencja zyskała inny charakter. Dzięki pewnemu zeuropeizowaniu stosunków społecznych, zrodzona po raz drugi prasa perjodyczna, znów podniosła głowę i, niby wzajemne reagowanie ciał chemicznych, poczęła przyczyniać się do dalszego cywilizowania Gruzji, demokratyzując społeczeństwo i wysuwając wykształcenie i osobistą zasługę, jako jedyne mierniki wartości i znaczenia człowieka.

(C. d. n.)